

## ESEJE NA 100-LECIE PZLA

### Jak doszło do założenia PZLA

Polski Związek Lekkiej Atletyki założono i zarejestrowano rejentalnie 11 października 1919 roku jako 21 europejski związek w tej najpopularniejszej dyscyplinie sportu. Na początku wyróżniało go jedynie to, że, nieprzypadkowo, powstał w niepodległej już Polsce jako pierwsze stowarzyszenie tego typu. Był efektem skutecznych, przemyślanych działań niewielkiego grona osób – działaczy, urzędników i zawodników – dobrze świadczących zarówno o ich stanie świadomości jak i rozumieniu potrzeb młodej II RP. Dziś, z perspektywy stulecia Związku wiemy już, że pionierzy sportu polskiego, choć nic na to w latach dwudziestych, gdy wleliśmy się w przysłowiowym „ogonie Europy”, nie wskazywało, stali się zarazem Związkiem bodaj najstabilniejszym i przysparzającym państwu polskiemu w skali historycznej zdecydowanie najwięcej medali olimpijskich, sukcesów i renomy. A zatem ponosi znaczną odpowiedzialność za uczynienie lekkoatletyki naszą wizytówką i sportem narodowym numer jeden. Rozumiał to doskonale znakomity świadek epoki, lwowianin, prof. Rudolf Wacek. W jego wspomnieniach spisanych w latach dwudziestych przewija się pogląd, że „nie piłce nożnej, lecz właśnie lekkiej atletyce, zawdzięcza sport polski, iż już przed wojną zagranica zwróciła na nas uwagę”.

Polska nie jest Wielką Brytanią toteż przykładów wieloletniej, ciągłej i skutecznej aktywności na jakimkolwiek polu nie mamy zbyt wiele. Tym ciekawsze wydaje się zatem wyjaśnienie nie tylko okoliczności założenia PZLA, ale też głębszych uwarunkowań jego historycznego sukcesu. Zacząć wypada od przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, gdy pierwszych kilka igrzysk olimpijskich uświadomiło zainteresowanym podstawową rolę lekkoatletyki oraz gimnastyki, zaś koncepcja amatorstwa stawiającego na powszechność sportu i ćwiczeń fizycznych w sterowanych przez nowoczesne państwo instytucjach zdecydowanie wzięła górę nad formułą sportu profesjonalnego. Istniejący od roku 1894 Międzynarodowy Komitet Olimpijski dążył do upowszechnienia idei olimpijskiej na wszystkich kontynentach. Zaproszenia do udziału w igrzyskach otrzymywały automatycznie kraje/terytoria, gdzie działały towarzystwa gimnastyczne lub takie, z których wywodzili się członkowie MKOI. Czesi i Węgrzy, mimo protestów Austriaków, uzyskali prawo wystawienia własnych reprezentantów już w r.1896, Finowie – w r. 1912 (przy protestach Rosjan). Dużo bardziej skomplikowana była sytuacja Polaków.

Dogodne warunki do zakładania polskich klubów sportowych istniały jedynie w Galicji, cieszącej się, po r.1867, autonomią polityczną i kulturalną, ale i tam nie wolno było zakładać organizacji trójzaborowych, reprezentujących całość ziem polskich. Brak takich ciał reprezentacyjnych praktycznie uniemożliwiał dołączenie Polaków do rodziny narodów olimpijskich. W r. 1910 do zaproszenia skierowanego ze Sztokholmu do narodowych komitetów olimpijskich dołączono ulotkę wymieniającą Polskę w czwartej grupie – krajów bliskich spełnienia wymagań, Paradoksalnie, działało się to przy zupełnym braku nacisku z naszej strony. Piotr Gajewski bez powodzenia reprezentował barwy Rosji w biegu na 400 metrów. Galicyjscy lekkoatleci i piłkarze zadowalali się tworzeniem sekcji polskich w austriackich związkach sportowych. Szczytem ich ambicji było uczestniczenie w austriackich kwalifikacjach i ewentualny występ olimpijski pod austriacką flagą. W r. 1912 stało się to udziałem 400-metrowca Władysława Ponurskiego. Inny lekkoatleta, płotkarz Tadeusz Garczyński wygrał eliminacje, ale w Sztokholmie go zabrakło. W odróżnieniu od Węgrów polscy rekordziści ziem austriackich (Przedlitawii) nie dążyli przed r. 1916 do startu pod własną flagą. 29 marca 1914 r. na wniosek zawodników dwóch czołowych klubów lwowskich – Czarnych i Pogoni – Nadzwyczajne Walne Zebrania AZLA (Austriackiego Związku Lekkiej Atletyki) wyraziło zgodę na utworzenie w stolicy Galicji Polskiego Kolegium Lekkoatletycznego (PKL). Jednym z jego czołowych działaczy stał się dr Stanisław Polakiewicz, były szef referatu AZLA ds. Galicji, w r. 1912 organizator pierwszych na obszarze zaboru austriackiego międzynarodowych zawodów lekkoatletycznych. Funkcję prezesa powierzono Marcelemu Jakubowskiemu, zarazem członkowi zarządu Związku Polskiego Piłki Nożnej (ZPPN). Jednym z wiceprezesów został znakomity „miler” Adam Mryc z Czarnych Lwów. W momencie wybuchu wojny Kolegium kończyło przygotowania do organizacji I mistrzostw Austrii w dziesięcioboju.

Sytuacja zaczęła się zmieniać latem r. 1915 po zajęciu większości ziem Królestwa Polskiego przez nacierające armie Państw Centralnych. W Warszawie otworzono Uniwersytet i zezwolono na zakładanie polskich oraz żydowskich klubów sportowych (Polonia, AZS, Makabi i Legia). Po Akcie 5 listopada 1916 roku zaczęto przygotowywać polskie instytucje cywilne, które zastąpić miały instytucje okupantów. I wtedy właśnie, w prywatnych rozmowach, pojawił się problem powojennej organizacji sportu polskiego, w tym konieczności szybkiego powołania PZLA i PKOI.

Szczegółowy opis działań prowadzących do założenia tych dwóch wielce zasłużonych i silnie ze sobą powiązanych ciał znajdujemy w różniących się nie tylko detalami relacjach Stanisława Polakiewicza i Henryka Szota-Jeziorowskiego. Jest jeszcze trzecia relacja – Tadeusza Kuchara – ale ta rozmowa toczona w roku 1960 w redakcji „Sportowca”, 40 lat po wydarzeniach, niewiele wnosi do wiedzy o punkcie startu; znacznie więcej o pierwszych miesiącach i latach działalności. Stanisław Polakiewicz – niestrudzony propagator sportu i olimpizmu – był lwowskim publicystą i działaczem rzadko jednak bywającym w stołecznych ministerstwach i kawiarniach. Na „Warszawkę” spogląda oczami prowincjusza. A zasługi przypisuje głównie sobie samemu. Przedstawia siebie jako „spiritus movens” powstania PZLA i najważniejszą osobę w pierwszym okresie działalności PKOl. Zaletą tej relacji spisanej w latach 1924-1926 jest mały dystans czasowy. Całość ukazała się drukiem w r. 1927 jako organiczna część rozbudowanego sprawozdania z VIII Igrzysk Olimpijskich w Paryżu 1924.

W przeciwieństwie do poprzednika Henryk Szota-Jeziorowski – ceniony działacz i kompetentny urzędnik – stara się nie wyolbrzymiać własnych zasług. To, co istotne rozgrywa się dlań w Warszawie. Kraków i Lwów nie mają większego znaczenia. Relacja sprawia wrażenie wiarogodnej, mimo iż spisana została po latach, na zamówienie prof. Ryszarda Wryka. O wiarogodności przesądza duże nagromadzenie możliwych do weryfikacji szczegółów. Natomiast wyraźnie ustępuje Polakiewiczowi pod względem krytycyzmu wobec opisywanych działań. Ma przesadny szacunek dla autorytetów – pułkowników, profesorów, ministrów a rzeczywistość przedwojenną przedstawia nieco ulukrowaną. W tym świecie wszystkie postulaty składane przez sportową grupę nacisku spełniane są przez armię, ministerstwa i Naczelnika Państwa natychmiast i z wielką gorliwością, słowo igrzyska otwiera wszystkie drzwi, Bolesław Wieniawa-Długoszowski (adiutant Naczelnika) pręży się na baczność przed cywilami a jedynym „Złym” okazuje się premier Władysław Grabski odbierając PKOl przyznane wcześniej fundusze na Antwerpię (50 tys. marek pol.), by pokryć koszty pobytu delegacji polskiej na konferencji w Spa (lipiec 1920). Trudno właściwie zrozumieć, dlaczego powołanie PZLA i PKOl zajęło cały rok, jeśli wszystko toczyło się po tak dobrze naoliwionych torach.

Naturalnie, zupełnie inaczej przedstawia się to w relacji lwowskiej. Polakiewicz użera się nieustannie z nieznanymi się na sporcie urzędami, z trudem wywalcza audiencje u ministrów; fundusze dla PKOl gromadzi własnym sumptem. Bliższy prawdy wydaje się generalnie Szota-Jeziorowski, ale okazjonalnie odwoływać się będziemy również do pozostałych narracji.

X X X X X

W samym środku pierwszej wojny światowej, wiosną 1916 roku, kiedy idea VI Igrzysk Olimpijskich w Berlinie była już na dobre pogrzebana 24-letni student warszawskiej Politechniki – Kazimierz Biernacki – opublikował 18-stronicowy apel o szeroki udział młodzieży polskiej w nadchodzących igrzyskach, aby w ten sposób przypomnieć światu o naszych aspiracjach do niepodległości. Biernacki okazał się znakomitym architektem, ale w tym czasie pasjonowała go kultura fizyczna. Jesienią tego roku zorganizował w Warszawie i wygrał „Marsz maratoński”. Towarzyszyły mu pierwsze w dziejach miasta duże zawody lekkoatletyczne. Z młodszym o trzy lata Henrykiem Jeziorowskim mającym podobne pasje prowadził długie rozmowy jak najlepiej wykorzystać sport do celów patriotycznych. Obaj przekonani byli, że przy najbliższej okazji tj. najpóźniej w r. 1920 niepodległe państwo polskie powinno zasygnalizować swoje istnienie całemu światu przez wysłanie do Antwerpii dużej reprezentacji złożonej głównie z lekkoatletów. Aby tego dokonać należało jak najwcześniej powołać do życia rodzimy reprezentatywny Komitet Olimpijski oraz kilka najsilniejszych ogólnopolskich związków sportowych. Na podobny koncept wpadł w Lwowie Stanisław Polakiewicz. Podczas pobytów w Warszawie kilkakrotnie prowadził w tej sprawie sondażowe rozmowy z zainteresowanymi sportem politykami i dziennikarzami (m.in. z Kazimierzem Hemerlingiem). W r. 1917 zorganizowano w Warszawie pierwsze imprezy, z których dochody zasilić miały przyszły Fundusz Olimpijski.

19-22 września roku 1918, kiedy bliskie zwycięstwo Ententy stawało się oczywiste, w Warszawie odbył się trójzaborowy w zamyśle I Zjazd Zrzeszeń Sportowych i Gimnastycznych. Równoległe, za sprawą Biernackiego, przeprowadzono duże „zawody propagandowe”, na których zabłysł talent polonisty Stanisława Sośnickiego. W prasie ukazały się z tej okazji artykuły wskazujące na ważną rolę kultury fizycznej w nowoczesnych państwach europejskich. Od tej pory przygotowania do powołania PZLA, PZPN i PKIO uległy znacznemu przyspieszeniu, zaś grono wtajemniczonych szybko się powiększało. W listopadzie 1918, tuż po odzyskaniu Niepodległości, Naczelnik Państwa na specjalnie zorganizowanej audyencji wyraził poparcie dla planów Szota-Jeziorowskiego i jego kolegów. Znalazły się pieniądze „na rozruch” i, co więcej, uzyskano zgodę na założenie „referatów, bądź Wydziałów

sportowych” przy powstających właśnie ministerstwach. Szczególnej pomocy udzieliło Ministerstwo Zdrowia Publicznego kierowane przez czołowego wolnomularza Witolda Chodźkę, zwłaszcza zaś Wydział Higieny Społecznej socjalisty Mieczysława Michałowicza – ojca dra Jerzego Michałowicza.

W marcu 1919 Belgijski Komitet Olimpijski nadesłał na ręce Piłsudskiego długo wyczekiwane zaproszenie II RP do uczestniczenia w igrzyskach antwerpskich. Miesiąc później o znaczny udział wychowania fizycznego w procesie wychowawczym młodzieży upomniał się Sejm Nauczycielski. Pomimo zakończenia 21 czerwca 1919 roku paryskiej konferencji pokojowej sytuację komplikowała trwająca jeszcze wojna o granice. W listopadzie 1918 r. w zaciętych walkach z Ukraińcami o Lwów poległ Józef Kawecki, czołowy długodystansowiec. Ze Śląskiem nie było bezpośredniego kontaktu, a Wielkopolska zdecydowała się przyłączyć do Warszawy, po pół roku wahań, w końcu czerwca 1919. O składzie stowarzyszeń sportowych decydowały w tej sytuacji Galicja i Królestwo Polskie, a dokładniej mówiąc – trzy miasta: Lwów, Kraków i Warszawa. Z wszystkich uprawianych u nas olimpijskich sportów tylko dwa – piłka nożna i lekkoatletyka – gotowe były mentalnie, finansowo i organizacyjnie do zjednoczenia. Krakowski „Czas” z 16 września 1919 informował o odbytym dwa dni wcześniej w Lwowie nadzwyczajnym posiedzeniu Zarządu ZPPN b. zaboru austriackiego, z udziałem przedstawicieli PKL. Sekcja Sportowa Ministerstwa Robót Publicznych apelowała na tym forum o szybkie dokończenie przygotowań do „utworzenia związku ogólnopolskiego footballowego i lekkoatletycznego”. Okazja nadarzyła się szybko w postaci przygotowywanego w Krakowie na 11-12 października (sobota i niedziela) Zjazdu Działaczy Turystycznych, Narciarskich i Lekkoatletycznych. Wysłanie do Krakowa przedstawicieli kilku ministerstw oraz stowarzyszeń wydawało się łatwiejsze niż ściąganie do stolicy Galicjan z dalekiego Lwowa. Łatwiej też było w Krakowie o odpowiednie lokale. Na wieść o zamiarach lekkoatletów przyspieszyła swoje działania również grupa inicjatywna PKOI składająca się częściowo z tych samych osób.

W takich to okolicznościach doszło w Krakowie do trzech prawie jednoczesnych zjazdów, a to, że przedstawiciele „królowej sportu” okazali się najszybsi nie powinno nikogo zaskakiwać. ZPPN dołączyło dopiero po dwóch miesiącach. Miejscem dwudniowych obrad „delegatów Towarzystw Sportowych w celu powołania do życia Polskiego Związku Lekkiej Atletyki” były sale Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego przy ul. Radziwiłłowskiej 4 oddane do użytku w r. 1905. Dziś wejście do budynku zdobi stosowna tablica informacyjna. Na 15 osób obecnych aż pięć miało za sobą studia medyczne, trudno się zatem dziwić wyborowi miejsca spotkania. Obradom przewodniczył inż. Ludwik Christelbauer, pionier lekkoatletyki w galicyjskim ruchu sokolskim, teraz zaś, obok Polakiewiczza, delegat ZPPN. Prezesem został delegat Pogoni Lwów – Tadeusz Kuchar. Lwów obsadził też inne najważniejsze stanowiska, a drugiego dnia wybrany został siedzibą PZLA i miejscem prowadzenia przygotowań olimpijskich lekkoatletów. W ten sposób uhonorowano dawne zasługi Czarnych i Pogoni, ale nie mogło to powstrzymać zmian w geografii sportu polskiego. Z każdym rokiem rosła siła stolicy. Toteż podczas obrad I Zjazdu PZLA (Lwów, 27 grudnia 1921) zapadła decyzja o przeniesieniu Związku do Warszawy. Marcelemu Jakubowskiemu, prezesowi PKL i szefowi przygotowującego zjazd Komitetu Organizacyjnego nie powierzono w Krakowie żadnej funkcji. Szot-Jeziorowski skoncentrowany na sprawach PKIO nie pojawił się na tym zjeździe.

Według precyzyjnych obliczeń prof. Ryszarda Wasztyła 15 obecnych przy stole obrad reprezentowało dwa ministerstwa, jeden związek sportowy (galicyjski ZPPN), oraz 11 klubów zrzeszających wówczas łącznie ok. 200 zawodników. Spośród znanych sportowców obecni byli Jan Baran (Polonia Warszawa), Tadeusz Dręgiewicz (Pogoń Lwów) i dr Józef Lustgarten (Cracovia). Żydowskie i niemieckie kluby z Łodzi reprezentował Alfred Hinc. Przedstawiciele prasy zabrakło. Powołano kilka niezbędnych komisji, w tym statutową, rewizyjną i finansową. Uchwalono, że pierwszymi rekordami będą najlepsze wyniki „Galicjan” – o ile nikt ich później nie przewyższył – zaś na samym końcu podjęto przez aklamację uchwałę wzywającą do rychłego ustanowienia PKIO. Jak się wydaje, była nieaktualna już w chwili jej uchwalania.

Oto bowiem w Sali konferencyjnej pobliskiego i nowoczesnego Hotelu Francuskiego (Pijarska 13) oddanego do użytku w r. 1912 w niedzielę już od rana toczyli obrady uczestnicy zjazdu, który powołał do życia Komitet Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich, przemianowany wkrótce na PKIO, a od roku 1925 znany pod dzisiejszą nazwą PKOI. Komitet składał się w połowie z osób, które dzień wcześniej utworzyły PZLA. Prezesem, zgodnie z upodobaniami MKOI, uczyniono księcia Stefana Lubomirskiego – zasłużonego dla warszawskiej Filharmonii, ale obowiązki związane z przygotowaniem reprezentacji na Antwerpię spadły na sekretarza gen. Henryka Szot-Jeziorowskiego. O wkładzie lekkoatletów świadczy dobitnie skład 11-osobowego I Zarządu PKIO z 1 grudnia 1919, po zatwierdzeniu Statutu. Znajdujemy tam Tadeusza Garczyńskiego i Stanisława

Polakiewicza jako wiceprezesów oraz Tadeusza Kuchara i Ludwika Christelbauera jako członków.

Piłsudski i w tym wypadku wyszedł naprzeciw oczekiwaniom środowiska sportowego. Zgodził się, podobnie jak gen. Józef Haller objąć PZLA swoim protektoratem. Znalazły się nawet pieniądze na rozpoczęcie przygotowań olimpijskich. Niestety, radość trwała krótko. Wiosną r. 1920 niepomyślny rozwój wydarzeń na wojnie z bolszewikami zmusił rząd do odwołania udziału Polski w nadchodzących Igrzyskach Siódmej Olimpiady. Zakontraktowani już z pomocą YMCA zagraniczni trenerzy ze Szwecji (Knut Helgesson) i Stanów Zjednoczonych musieli zmienić plany, a nasi niedoszli olimpijczycy pojawili się na froncie zmagając się z wojskami Budionnego i Tuchaczewskiego.

Przepadły też, naturalnie, fundusze zgromadzone na koncie PKIO. Dopiero w r. 1921 udało się po raz pierwszy przeprowadzić mistrzostwa Polski mężczyzn a sam związek wprowadzić do IAAF. Rok później lekkoatleci mieli już za sobą pierwszy trójmecz międzypaństwowy, zaś pionierki „Królowej” w liczbie 22 stawiły się na starcie swoich mistrzostw. Na dobrą sprawę dysponowaliśmy wówczas zaledwie jednym stadionem spełniającym obowiązujące kryteria (w Parku Sobieskiego, dawna Agrykola). W r. 1922 zakończyła też pracę komisja opracowująca zestawienie rekordów kraju. Z 45 branych pod uwagę rezultatów zatwierdzono 29. W 16 przypadkach wyniki odrzucono, najczęściej z powodu braku legitymizujących wyniki sprawozdań.

Dla nieokrępych polskich związków sportowych pierwsze lata Polski Odrodzonej stanowiły potężne wyzwanie i trudny sprawdzian charakterów. Skazane na niedobory, drugorzędność i nikłe zainteresowanie społeczeństwa musiały dodatkowo poradzić sobie z inflacją, reformą pieniądza a potem ze skutkami długotrwałego kryzysu gospodarczego. I właśnie w takich kryzysowych warunkach działacze PZLA błysnęli klasą na tle konkurentów. Wyniki poprawiały się z roku na rok, od I Plebiscytu „Przeglądu Sportowego” z r. 1926 lekkoatleci wysunęli się na czoło najpopularniejszych sportowców, dystansując nawet jeźdźców i pilotów; a trzy brylanty w postaci Haliny Konopackiej, Stanisławy Walasiewicz i Janusza Kusocińskiego dały Polsce w latach 1928-1932 trzy złote medale igrzysk olimpijskich. Inne kraje o daleko większych tradycjach musiały na taki sukces czekać dekadami. Nawet trudne dla całej Europy Środkowej lata 1929-1935 nie zahamowały dzięki CIWF rozwoju dyscypliny. Nie było w tym wszystkim przypadku. Sukcesy były efektem mądrej polityki Związku – tj. umiejętnego korzystania z państwowego parasola, bliskiej współpracy z wojskiem (po r. 1926), niezbędnej doży centralizmu w latach przewycięzania wielkiego kryzysu, ale i konsekwentnego, mozolnego budowania potrzebnej infrastruktury nawet w odległych regionach II RP. Wszystko to było zaś możliwe tylko dzięki budzącej szacunek ciągłości działania. Inżynier Waclaw Znajdowski, były młociarz, kierował PZLA przez prawie 10 ostatnich lat przedwojennych. Skład Zarządu zmieniał się w tym okresie minimalnie. Rzecz jasna nie brakowało ambicjonalnych konfliktów między trenerami, działaczami lub okręgami, ale na ogół tłumiono je w zarodku sensownymi rozstrzygnięciami centrali.

Dziś, w stulecie PZLA, gdy nowe pokolenie działaczy nie sięga pamięcią dalej niż do lat osiemdziesiątych warto jest uprzytomnić sobie drogę jaką odbyliśmy – od Kopciuszka do *Wunderteamu* i dalej do współczesności. Niech ten nieco wyidealizowany na potrzeby chwili konterfekt wydobędzie na moment z mroku cienie niesłusznie zapomnianych przodków. Oddajmy sprawiedliwość ich zasługom. Tak wiele im zawdzięczamy.

## BIBLIOGRAFIA

- Tadeusz Grabowski, *Z lamusa warszawskiego sportu*, Warszawa 1957  
Tadeusz Kuchar, *Olimpijski załączek*, „Sportowiec” nr 6/1960  
Stanisław Polakiewicz, *Igrzyska VIII-mej olimpiady Paryż 1924 oraz dzieje olimpizmu w zarysie*, Lwów-Warszawa-Kraków 1926  
Maria Rotkiewicz, Kajetan Hądzelek, *Powstanie i działalność polskich związków sportowych, 1919-1925*, „Sport Wyczynowy” 2007, nr 10-12 s.99-106  
Maria Rotkiewicz, *Światło Olimpi*, Warszawa 2011  
Henryk Szot-Jeziorowski, *Pierwszy polski Komitet Olimpijski*, w: Akademycki Związek Sportowy 1908-1983. *Wspomnienia i pamiętniki*; wybór i opr. R. Wryk, Poznań 1985, s.35-44  
Ryszard Wasztyl, *Narodziny Związku*, „Lekkoatletyka” 1980 nr 9, s 16-17  
Ryszard Wryk, *Początki ruchu olimpijskiego w Polsce*, Poznań 2012  
Ryszard Wryk, *Sport olimpijski w Polsce 1919-1939*, Poznań 2006  
Stanisław Zaborniak, *Z tradycji lekkoatletyki w Polsce t. II – Powstanie i działalność PZLA*, Lublin 2012

## Mądrość zapomnianych przodków, czyli jak unikaliśmy kryzysów

Lekkoatletyka polska oglądana z perspektywy stulecia wydaje się niekiedy mityczną krainą króla Midasa – niewyczerpaną feerią medali, rekordów i błyskotliwych zwycięstw. Sukcesów było tak wiele, że usuwają zupełnie z pola widzenia chmury i ciemne plamy pojawiające się okazjonalnie na pogodnym z natury obliczu naszej „Królowej”. Wszak już w pierwszym, nielicznym pokoleniu lekkoatletek pojawiły się talenty na miarę Haliny Konopackiej czy Stasi Walasiewicz. Wśród panów, dla odmiany, Wacław Kuchar i płotkarz Stefan Kostrzewski brylowali w pierwszych plebiscytach „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca odrodzonej ojczyzny. Tak więc, można zaryzykować twierdzenie, iż od samego początku lekkoatleci obu płci lepiej niż przedstawiciele innych dyscyplin spełniali zapotrzebowanie społeczne na sukcesy w skali makro.

Po cóż więc w dniach Jubileuszu psuć podniosłą atmosferę powracając myślami do zagrożeń i trudnych momentów. Ano, po to, by nie powtarzały się w przyszłości. Nie mamy przecież wykupionej wieczystej gwarancji sukcesów. Pamięć o dawnych kłopotach powinna przynajmniej pozwolić na uniknięcie w przyszłości niepotrzebnych powtórek. Nowych problemów i tak nigdy nie zabraknie. Nie zamierzam, bynajmniej, rozpatrywać w tym miejscu kwestii ogólnych – takich jak skutki drugiej wojny światowej, czy dziedzictwo komunizmu, ani nawet ich krótko- i długofalowych konsekwencji. Uwagę czytelników skupić pragnę na reakcjach na endogenne (tj. uwarunkowane wewnątrznie), elementy kryzysowe, czyli takie, na których pojawienie się i przebieg mieliśmy jakiś wpływ.

Zacznijmy od niezbędnego przypomnienia, że na początku lat dwudziestych, w chwili opóźnionego startu, rodzimi pasjonaci „atletyki bieżni i boisk” pod względem poziomu sportowego nie liczyli się w Europie. Ustępowaliśmy też znacznie rywalom infrastrukturą urządzeń sportowych oraz dostępem do specjalistycznego sprzętu. Brakowało trenerów, podręczników, dosłownie wszystkiego – nawet polskiego nazewnictwa. W relacjach z nielicznymi międzynarodowymi konfrontacjami przewija się stale motyw klęski oraz krzywd wyrządzonych „naszym” przez stronniczych arbitrow i grubiańską widownię zagraniczną. Słowem, nie kojarzyliśmy się na świecie z wielkim sportem, zaś naszych reprezentantów nie darzono zbyt dużym szacunkiem.

Skąd zatem tak szybkie postępy? Skąd się wzięły już po 12 latach medale olimpijskie w Los Angeles? Przecież kraje, które wyprzedzały nas na starcie czekały na taki sukces nieraz kilkadziesiąt lat. Dlaczego lata Wielkiego Kryzysu w sporcie wyczynowym nie pozostawiły po sobie trwałego śladu? Takich pytań nasuwa się bardzo wiele. Prawidłowa odpowiedź kryje się zapewne w konstatacji, że tak się jakoś złożyło, iż przy podejmowaniu najważniejszych decyzji o charakterze strategicznym, decyzji rozstrzygających o przyszłości, dokonywaliśmy we właściwym czasie na ogół trafnych wyborów. My – to znaczy odpowiednie organy państwa oraz działacze PZLA reprezentujący środowisko lekkoatletyczne. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że nie było to kwestią szczęścia lub przypadku, lecz raczej prawidłowością. W odróżnieniu od naszych sąsiadów, w najtrudniejszym, pionierskim okresie rozruchu uniknęliśmy poważniejszych kryzysów dzięki sprawnie funkcjonującemu systemowi wczesnego ostrzegania, a zawdzięczamy to wyłącznie sobie samym. W konsekwencji lekkoatletyka polska rozwijała się może niezbyt harmonijnie, ale za to systematycznie.

Trzy najważniejsze decyzje odpowiadające na wyzwania lat dwudziestych podjął zwycięski obóz piłsudczyków niedługo po zamachu majowym. Pierwsza z nich, wbrew dotychczasowym tradycjom państwa i narodu, nadawała wysoką rangę społeczną sportowi i kulturze fizycznej. Zadecydowały potrzeby Wojska i opinie autorytetów edukacyjnych. Niemal z dnia na dzień wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe stały się ważnymi ogniwami patriotycznego wychowania obywateli, a szczególnie uczniów i studentów. Przy okazji wysoko w społecznej hierarchii ulokowali się wybitni sportowcy. Laureaci organizowanych nieprzypadkowo od r. 1926 corocznych plebiscytów „Przeglądu Sportowego” tworzyli teraz sportową elitę mieszącą się na balach, rautach i wyścigach z przedstawicielami dotychczasowych elit politycznych, kulturalnych i wojskowych. Symbolicznym wyrazem nowych stosunków stał się ślub legionisty i min. skarbu Ignacego Matuszewskiego z chlubą i ikoną sfer sportowych – Haliną Konopacką.

Naturalnie, nie wszyscy podzielali ten entuzjazm. Jerzy Jurandot w sztuce „Mąż Fołtasiówny” (1938) wyśmiał utalentowanego muzyka zdominowanego całkowicie przez żonę sprinterkę-celebrytkę. Najciekawsze, że nadał mu nazwisko Karcz, które nosił znacznie później powojenny reprezentacyjny sprinter Gwardii Warszawa. Wrogo nastawieni byli też np. Witkacy czy Tuwim. Zaprzyjaźniony z Tuwimem Antoni Słonimski pouczał zgryźliwie: „Świat nie jest piłką futbolową. Świat się podbija głową, głową, głową”. Inni skamandrycy mieli do sportu stosunek bardziej zniuansowany. Lechoń pozostawał zupełnie obojętny, Iwaszkiewicz i Grydzewski – słynny redaktor „Wiadomości Literackich” – chętnie fotografowali

się z celebrytami na koronie stadionów, zaś Kazimierz Wierzyński jako redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego” (1926-1931) nadał gazecie prawdziwie europejski sznyt. Z igrzysk w Amsterdamie (1928) wrócił jako złoty medalista literackiego konkursu sztuki za tomik poetycki *Laur olimpijski* sławiący natchnionymi strofami m.in. tyczkarzy, dyskoboli, sport antyczny i wspaniałego *goalkeepera* Zamorę. W latach 1960., piórami Jerzego Urbana i Daniela Passenta na niechęci do sportu usiłował robić karierę wpływowy tygodnik „Polityka”. Bez powodzenia.

Druga z wczesnych decyzji strategicznych, przynajmniej, odważna i bynajmniej nie oczywista, polegała na dowartościowaniu lekkiej atletyki i uznaniu jej za sport w Polsce wiodący. Tak było, naturalnie podczas igrzysk olimpijskich, ale generalnie w Europie tej doby królowała jeszcze gimnastyka bądź już piłka nożna. Radiowiec Wojciech Trojanowski oraz redaktorzy „Przeglądu Sportowego” sprawili jednak, że przeciętny rodzimy kibic swoje uczucia, aż do czasów Wunderteamu, ulokował w „Królowej sportu”. Dopiero w latach siedemdziesiątych prześcignęła ją popularnością piłka nożna, a potem siatkówka i skoki narciarskie. Na lekkiej atletyce wypadało bywać albo przynajmniej pokazywać się. W niektórych środowiskach jej uprawianie wręcz nobilitowało. Poświęcali jej książki mistrzowie pióra tacy jak Jan Parandowski, Stanisław Dygat czy Bohdan Tomaszewski.

Za wysoką pozycją szły jednak obowiązki. Opinia publiczna oczekiwała od biegaczy, miotaczy i skoczków wysokiego poziomu etycznego. Patrząc z historycznej perspektywy można dziś z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że polscy lekkoatleci i w tej dodatkowej konkurencji wagi ciężkiej te nierealistycznie rozbudzone oczekiwania w pełni potwierdzili wykazując się w godzinie Próby postawą obywatelską, patriotyzmem, i gotowością do najwyższych poświęceń. Józef Kawecki, pionier sportu lwowskiego, poległ w walkach o rodzinne miasto w pierwszych dniach Niepodległości. Alfred Freyer – nasz pierwszy wybitny długodystansowiec – zginął w grudniu 1927 r. w Dzikowie podczas pożaru pałacu Tarnowskich ratując cenne zbiory sztuki. Janusz Kusociński za niezłomną postawę znalazł się wśród pierwszych ofiar przeprowadzanych przez Niemców publicznych egzekucji w Warszawie. Dwa miesiące wcześniej w Lasku Katyńskim zamordowany został przez Rosjan prezes PZLA inż. Waław Znajdowski. Halina Konopacka uczestniczyła w słynnej akcji ratowania polskiego złota. Jej koledzy i koleżanki z reprezentacji, Waław Gąssowski, Witold Gerutto, Jadwiga Wajsołówna i Maria Kwaśniewska w pionierskich warunkach odbudowywali po roku 1945 prestiż polskiej lekkoatletyki, Jan Mulak – wychowanek sportu robotniczego był po wojnie kandydatem PPS na premiera, a potem wybitnym szkoleniowcem, współtwórcą i strategiem Wunderteamu. Wielka Stanisława Walasiewicz – o czym rzadko się wspomina – w latach największej sławy ponad pieniądze i zaszczyty stawiała polskie obywatelstwo. To wyliczenie mówi samo za siebie.

Trzecia, powiązana z poprzednimi, decyzja dotyczyła częściowego finansowania sportu poprzez struktury wojskowe. Jej znaczenie ujawniło się z wielką mocą w najtrudniejszych latach Wielkiego Kryzysu (1931-1935). Na tle tych krajów europejskich, które nie zastosowały podobnego rozwiązania stwierdzić wypada, że lekkoatletyka polska wyszła obronną ręką z tego trudnego okresu. Dzięki ukrytemu dofinansowaniu nie przerwano ciągłości przygotowań olimpijskich. Za cenę silnego upolitycznienia całego sportu polskiego oraz zdecydowanej centralizacji działań i wydatków udało się w roku olimpijskim 1932 wysłać do Stanów Zjednoczonych (Los Angeles i Lake Placid) dwie spore reprezentacje, które nie przyniosły nam wstydu. Znalazło się nawet miejsce dla przeciętnej drużyny hokeistów, choć np. doskonałych Czechosłowaków i Austriaków nie było stać na taki wydatek. W roku 1931 przy wsparciu późniejszego patrona, marszałka Józefa Piłsudskiego, na warszawskich Bielanach otwarto Centralny Instytut Wychowania Fizycznego – jedną z pierwszych i najnowocześniejszych w Europie placówek tego typu. Na czele stanął kpt. Józef Baran-Bilewski, a główne role odgrywali instruktorzy wojskowi. Jeszcze dziś, po z górą 80 latach, stary CIWF, czyli AWF, dobrze służy sportowi polskiemu w roli zaplecza naukowo-treningowego.

Poza stabilnością finansowania był jeszcze jeden powód, który pozwolił PZLA w latach międzywojennych uniknąć wstrząsów występujących regularnie w PZPN i innych związkach sportowych. O ciągłości pracy decydowała stabilność składu osobowego Zarządu i jego Prezydium. Ścisłe kierownictwo zmieniało się jeszcze rzadziej. Ostatni prezes, były młociarz Waław Znajdowski, cieszący się dużym zaufaniem sfer rządzących, trwał na wyznaczonym mu posterunku od roku 1930. Silne okręgi (Poznań, Kraków i Śląsk) od czasu do czasu próbowały sprzeciwić się dominacji Warszawy i rozstrzygnięciom zapadającym w Ministerstwie Spraw Wojskowych (silnie powiązonym personalnie z Prezydium Związku), ale nie miały dość siły, aby skutecznie postawić na swoim. Nadto warto zauważyć, że mądra polityka PZLA i poszczególnych okręgów pozostawiała klubom dużą swobodę działania. Podsumowując wypada stwierdzić, że przez pierwszych 20 lat swego istnienia Polski Związek

Lekkiej Atletyki był wyróżniającym się związkiem sportowym: wolnym od długów, stabilnym i dobrze zarządzanym. Stale rosła jego pozycja międzynarodowa.

Po wojnie na dziejach PZLA odbiły się mocno częste zmiany koniunktury politycznej oraz „linii generalnej” władz państwowych, charakterystyczne zwłaszcza dla okresu do roku 1956. Konieczność szybkiego dostosowywania się do zmian, niekiedy diametralnych, owocowała nieciągłością podejmowanych działań, brakiem indywidualizacji szkolenia, niecierpliwością w oczekiwaniu na rezultaty. Wszystko to w połączeniu z narastającym centralizmem, podporządkowaniem klubów zrzeszeniom oraz odcięciem się od przedwojennego dorobku. Odpowiedzialność za niski poziom czołówki i porażki w Helsinkach zrzucano na Związek. Poza firmującym wszystkie dyrektywy prezesem Forsysem wymieniono bodaj całe Prezydium na ludzi, siła rzeczy, niedoświadczonych.

Głęboki kryzys wydawał się nieunikniony. I oto w tak trudnej sytuacji pojawił się Jan Mulak wprowadzając, w pierw w CRZZ, a potem w całej lekkoatletyce polskiej, rewolucyjne zmiany systemu szkolenia, które przejął później cały sportowy świat – długie obozy kondycyjne poprawiające też stan zdrowotny anemicznej powojennej młodzieży, podział na grupy szkoleniowe, wymiana myśli trenerskiej, mikrocykle dostosowane do kalendarza startów. Dzięki tym pomysłom nie tylko stworzono Wunderteam, ale też niezbędne dlań silne i szerokie zaplecze.

Innym stałym powodem zagrożenia kryzysowego okazało się upolitycznienie sportu. Od działaczy, sportowców i kadry szkoleniowej oczekiwano więcej niż lojalności. Ludzie reprezentujący „nową” Polskę mieli ją wspierać słowem i czynem, bronić polityki państwa i jego też propagandowych. Nie wszyscy byli na to gotowi, a co ważniejsze, nie wszystkim ufano. W efekcie składy reprezentacji rzadko kiedy były optymalne. Choć przy ważniejszych startach poza strefą państw demokracji ludowej obstawiano sportowców agentami Bezpieki nie wszystkich udawało się upilnować. Z Berna, areny mistrzostw Europy w r. 1954 nie wrócił do Polski średniodystansowiec Jan Miecznikowski, aby robić wkrótce furorę w amerykańskich halach jako John Macy. W roku 1957 w jego ślady podążył redaktor Konrad Gruda – z wykształcenia inżynier i architekt – specjalizujący się w publicystyce lekkoatletycznej. Odtąd nadawał audycje z Monachium koncentrując uwagę słuchaczy na ciemnych, skrywanych stronach socjalistycznego sportu. Dobrze poinformowany redaktor RWE swoimi rewelacjami doprowadził do zmian w Prezydium PKOl oraz kilku związków sportowych, ale sam Polski Związek Lekkiej Atletyki dzięki sukcesom w rywalizacji międzynarodowej nie poniósł, jak się wydaje, żadnych przykrych konsekwencji.

W wypadku kobiet za zmianami barw państwowych kryły się częściej motywy osobiste niż polityczne. Po igrzyskach w Melbourne pozostała na Antypodach z powodów matrymonialnych reprezentantka Polski Anna Wojtaszek. Oszczepniczka szykowana na następczynię Urszuli Figwer, poślubiła „wbrew działaczom, „Australijczyka”. Jako Anna Pazera została w r. 1958 mistrzynią Wspólnoty Brytyjskiej, bijąc przy okazji rekord świata. Nieprzypadkowo bywa zestawiana z samą Olgą Fikotową-Connolly. Ponieśliśmy niewątpliwą stratę, ale wypełniły ją z czasem, i to całkiem nieźle, Daniela Tarkowska-Jaworska i Ewa Gryziecka. Po Tokio, przy okazji meczu halowego z Niemkami, porzuciła Polskę, by związać się z ukochanym Halina Richter-Górecka, członkini złotego kwartetu rekordzistek świata w sztafecie 4x100 metrów. Na głowy działaczy, jak zwykle, posypały się gromy za brak obywatelskiej czujności. Zabrakło jednak cięższych represji.

W latach siedemdziesiątych ucieczki stały się prostsze i liczniejsze. Dotyczyły głównie piłkarzy, ale opinia publiczna i tak najmocniej przeżywała nagłe zniknięcie swojego ulubieńca – Andrzeja Badeńskiego, opisywane w kryminalnych sosach. Po stanie wojennym podobnym szokiem stał się wyjazd do RFN bohatera z Moskwy Władysława Kozakiewicza. Nawet po r. 1989 reprezentantom Polski zdarzały się rezygnacje z barw narodowych na rzecz egzotycznych krain takich jak Meksyk lub Nowa Zelandia.

Jednym z najbardziej zaniedbanych działań w całej historii PZLA były starania o wpływowe pozycje polskich działaczy w nadrzędnych strukturach europejskich i światowych. Jeśli w ogóle je prowadzono to z reguły niesystematycznie, niekonsekwentnie i nieskutecznie. W efekcie przegrywaliśmy ważne głosowania, *jury d'appel* wielkich imprez odrzucało nasze uzasadnione protesty, gdy naruszały interesy Francuzów czy Anglików, zaś Max Danz reprezentujący przez dekady RFN wielokrotnie blokował nam skutecznie drogę do rekordów i medali. W r. 1967 wystarczyła koalicja przedstawicieli ZSRR, NRD i Bułgarii, aby zdyskwalifikować dożywotnio Ewę Kłobukowską.

Nasze notowania pogarszały sporadycznie nieprzemyślane inicjatywy sprzeczne z polityką IAAF i MKOl, takie jak próby utrzymywania kontaktów sportowych z KRLD, czy poparcie dla igrzysk GANEFO (azjatyckie igrzyska olimpijskie powstała jako alternatywa dla igrzysk olimpijskich organizowanych przez MKOl). Nawet w zgodnej na ogół „rodzinie”

krajów socjalistycznych mieliśmy opinię niepewnych, więc traktowano nas jak *enfant terrible*. Woleliśmy wzory zachodnie od NRD-owskich, pojawialiśmy się chętnie na wielkich mityngach europejskich, a od lat siedemdziesiątych jako pierwsi w „demoludach” za starty naszych mistrzów domagaliśmy się konkretnych pieniędzy. Polscy trenerzy wybierali pensje płatne w silnych walutach. W r. 1966 nasi lekkoatleci odmówili rytualnego potępienia wojny wietnamskiej. Spore zamieszanie skończyło się przerwaniem prestiżowej serii polsko-amerykańskich meczów na szczycie i zmianą kapitana reprezentacji. Dwa lata później w trudnym roku 1968, władze Związku, lawirując, mimo presji, uniknęły wciągnięcia go do działań wymierzonych przeciw Irenie Szewińskiej. Jak widać z powyższych przykładów partyjne pretensje do PZLA o brak ideologicznego zapału nie były całkiem bezzasadne. Na tle innych ówczesnych związków atmosferę panującą w PZLA określić wypada jako dość swobodną. Może dlatego rok 1989 nie stanowił tu aż tak wielkiego przełomu jak gdzie indziej. Jednak kiedy nadeszła prawdziwa próba sił w roku 1984 tylko Rumunom starczyło odwagi, by przeciwstawić się propagandowej nagonce na igrzyska w Los Angeles. Nieliczne w środowisku głośne protesty zostały, w imię wyższej racji, wytłumione.

Ostatnim godnym omówienia zjawiskiem o dużym kryzysotwórczym potencjale były przestępstwa pospolite, czyny niegodne reprezentantów, bądź łamiące jedynie związkowe regulaminy. Przed wojną dyskwalifikacje wiązały się z łamaniem przepisów o amatorstwie (sprawa Stanisława Petkiewicza), nieregularnymi zmianami barw klubowych a nawet, sporadycznie, z odmową startów. Na krótszy lub dłuższy czas zawieszano niekiedy nieposłuszne kluby i okręgi. Po wojnie nowe kategorie „przestępców” wykreował panujący ustrój. Wśród karanych coraz więcej było przestępców paszportowych i dewizowych, obrotnych „handlowców” wykorzystujących wyjazdy zagraniczne, ale też miłośników napojów wysokowych łączących w sobie tylko wiadomy sposób trening wyczynowy z piciem alkoholu. W latach osiemdziesiątych pojawił się i przyćmił wszystko doping,

Na tle piłkarzy oraz przedstawicieli innych sportów lekkoatleci „wpadali” raczej rzadko. Tak jak w wypadku szermierzy czy bokserów, dopóki odnosili sukcesy przymykano oczy na ich „drobne grzeszki”. Powracający z zagranicznych występów wieźli ze sobą, nie licząc dewiz, ortaliony, nylony, rajstopy elastyczne; później płyty i sprzęt elektroniczny. W porównaniu z przedstawicielami dyscyplin zimowych mogli się czuć pokrzywdzeni nie dysponując „olimpijskimi kozuszkami”.

O lekkoatletycznych „machlojkach” miłośnicy sportu dowiedzieli się na dobrą sprawę dopiero w latach 1970’ po zdjęciu umownego „parasolu ochronnego”. Dyskobolka Danuta Rosani przeszła do historii w Montrealu (1976), gdy jako pierwsza lekkoatletka-olimpijka nie zdała testu dopingowego, naszym miotaczom zdarzały się przyłapania na manewrowaniu ciężarem sprzętu, sfrustrowany członek sztafety 4x400 m potrafił na mistrzostwach świata uzupełniać niedobory pantofli biegowych bezpośrednio z witryny Adidasa. Alkoholowe wpadki zdarzały się nawet trenerom i oficjelom. W każdym z tych wypadków, choć może nie zawsze w porę, Związek reagował adekwatnymi karami, co wytrącało broń z ręki przeciwnikom i przecinało ropiejące wrzody.

Reasumując, historia Polskiego Związku Lekkiej Atletyki jest jego najlepszą mową obrończą. Na przestrzeni stu lat kierowali nim z reguły ludzie kompetentni, kierujący się patriotyzmem i dobrem wspólnym całego lekkoatletycznego środowiska; ludzie, którzy brali na siebie i łagodzili pojawiające się nieregularnie wstrząsy, aby praca rozpoczęta w r. 1919 nie była przerywana. Szczególnie teraz, w dniach Jubileuszu, tak jak zawodnikom i trenerom, należy im się dobra pamięć.